Nr. 47 (porz. 229.) Kraków, sobota d. 21. listopada 1903. Rok VI.

OBRONA LUDU

tygodnik stronnictwa chrześcijańsko-ludowego.

Wychodzi co sobotę. Kosztuje rocznie 4 kor półrocznie 2 kor. Numer pojedynczy kosztuje 20 hal. Listów nieopłaconych nie przyjmuje się.

Biuro bezpłatnej porady prawnej dla ubogich prenumeratorów „Obrony Ludu" jest otwarte codziennie rano i popołudniu. Kraków, ul. Pijarska 2.
Redakcya i administracya znajduje się w Krakowie ul. Pijarska l. 2.

Ogłoszenia po 10 h. od wiersza półszpaltowego. Wszystkie listy i pieniądze przesyłać należy pod adresem: Administracya „Obrony ludu", Kraków, ul. Pijarska l. 2.

PIJAŃSTWO JEST ŹRÓDŁEM ZBRODNI I NĘDZY!

POCHWALONY JEZUS CHRYSTUS!

Jeszcześmy niedojrzali do samorządu.

Z wyjątkiem paru Rad powiatowych, które coś robią i kilkunastu gmin, gdzie widać ład i porządek, zresztą w całym kraju nieład, niechlujstwo, jedno duże bagno. Zdawało się, że gdy dostaniemy w ręce swoje władzę w kraju, wkrótce Galicya zakwitnie i podniesie się pod każdym względem. Niestety. Ze świecą w biały dzień trzeba szukać porządnego i mądrego wójta. Po wsiach drogi takie, że konie nogi łamią, w karczmie żyd rozpija lud, a często pod ławą leży gruntowy gospodarz; bójki i rozboje co niedziela. Idźmy dalej. 2000 wsi nie ma szkoły, ale za to w każdej wsi jest przynajmniej jedna karczma. Szkołę szlachcic nie postawił, ale karczmę wybudował. — Rządy od lat 40 są w rękach stańczykowskich. Oni siedzą w namiestnictwie i w Wydziale krajowym i w Sejmie i Radzie powiatu i w powiecie. Oni wszędzie mają większość, jeżeli więc kraj nasz jest krajem nierządu, jeżeli jest krajem ciemnoty i nędzy, to cała wina spada na tych, co stoją na czele, co rządzą i władze dzierżą; — temu wszystkiemu są winni stańczyki, winna jest galicyjska szlachta.

Podczas ostatnich obrad sejmowych dwóch skrajnych stańczyków, jeden od Lwowa, drugi od Krakowa jęło narzekać na nierządy w kraju, jak gdyby oni sami nie byli temu winni. P. Dawid Abrahamowicz powiedział, że »gminy i powiaty są zabagnione,« brak policyi ogniowej, zdrowotnej i bezpieczeństwa, stąd ciągłe pożary, choroby, rozboje i kradzieże.

Drugi stańczyk p. Górski potępił w czambuł całą autonomię i rządy gmin i zarządy powiatowe. Takie rządy — jak są obecnie — to jeszcze więcej złego przynoszą, aniżeli dobrego. Cała autonomia spoczywa na pijaku pisarzu gminnym, co okrada gminę i lud, a w powiecie na jakimś woźnym lub techniku bez szkół, co okrada powiat. Galicyjskie rządy autonomiczne przyrównywa p. Górski do chudego urzędnika, który siedzi i ciągle myśli, jakieby dodatki dołożyć do podatków. Oj to prawda, cała nasza autonomia polega na nakładaniu dodatków. Gdyby djabli wzięli autonomię obecną, a z nią dodatki, toby i kraj odżył i ludby odżył.

W końcu musimy jeszcze raz zaznaczyć, że przez 40 lat rządzą krajem szlachcice i oni odpowiadają za całą nędzę tego kraju, oni odpowiadają za zgniliznę i zubożenie ludności. — I lepiej nie będzie, dopóki będą spoczywały rządy kraju w rękach szlachty i żydów. —

Jak obchodzić się z końmi w zaprzęgu?

Nieszczęśliwem jest to dla naszego rolnictwa cenne i niezbędne zwierzę, jeśli opieka nad niem powierzoną jest brutalnemu, leniwemu człowiekowi. Stąd też stawia się wymaganie do właścicieli, aby pomiędzy woźnicami wybierali tylko takich, którzy mają pożądane przymioty rozsądku i serca dla tychże zwierząt, a nie należy milczeniem pomijać wybryków woźniców, bo się to potem mści na dobrobycie koni i najlepsza pasza nie pomoże, gdy woźnica jest nieodpowiednim. Większe przewinienia w dręczeniu koni winny być nawet władzom policyjnym oznajmiane, by te kary naznaczały. Wprawdzie zbyt częste przywoływanie policyi jest deprawacyą i pozbywaniem się dobrowolnem praw, służących obywatelom państwa — jednakże we wielu przypadkach jest koniecznem. W kilku tygodniach po przyjęciu nowego fornala lub woźnicy przekonuje się właściciel po wyglądzie oddanych mu koni, jakiego ten człowiek jest usposobienia. Nieraz jednakże koń bywa dręczony biciem i złem się z nim obchodzeniem, ale bardzo często dzieje się to przez niestosowne uprzęże. Koń tego nie zdolny objawić, co mu dolega, zatem tem uważniejszym winien być właściciel i swym zmysłem spostrzegawczym badać, gdzie koniowi ulżyć, co zmienić, aby mieć ze zwierzęcia tego pociechę, a tem samem zysk z jego pracy. Patrzmy przedewszystkiem na uprząż. Jest ona nieraz twardą, oddawna nie smarowaną, uciskającą zwierze bezustannie w jednem miejscu, przez co się wytwarzają odciski bolące, a w niejednem miejscu skóra na zwierzęciu się przeciera do żywego mięsa. Tak samo pod siodłem niestosownem tworzą się odciski, niesłychaną boleść koniowi wierzchowemu sprawiające. Inną niestosowną rzeczą są klapy oczne przy uzdach, używanych do lepszego zaprzęgu. Są one nieraz tak przyszyte i ustawione, że nie pozwalają koniomi patrzeć na przód i na boki, naturalnie tylko skłaniają go do natężenia wzroku, a tem do powolnego osłabiania. Niejeden koń w star-

szym wieku uległ ślepocie przez tę nieoględność i niestosowność w zaprzęgu. Często te klapy tak są ruchomemi, że przy biegu konia biją go w łeb i oczy. Przypatrzywszy się innym objawom przyrody, widzimy n. p., że gdy zjawi się zawieja śnieżna, największe zaspy podłużne tworzą się po za płotami, mającemi osłaniać pewne miejsce; pochodzi to ztąd, że płaty śniegu napotkawszy w swym biegu na miejsce bez wiatru, cisną się na bok po za płot i tam bez prądu spokojnie spadają na ziemię. To samo dzieje się koniowi w czasie wiatru, gdy chodzi w kurzawie. Źdźbła kurzu powstrzymane klapami, okręcają się koło tychże i wpadają koniowi w oczy, gdy bieg jego skierowanym jest razem z wiatrem. Jedną z wielkich tortur dla koni jest uprząż, żądająca od nich, aby kark wysoko trzymały i dlatego ściąga się łeb cuglami przy uzdzie, a te cugle przypina na poduszce u szorów. Dopóki się tych cugli nie popuści, nie może biedny koń łba zwiesić, a trzyma się go w ten sposób nieraz dzień cały w czasie dalekiej jazdy. Z tego przymusowego trzymania łba dostaje koń kurczu w karku. Okazuje się to w ten sposób, że koń wyrzuca łbem, aby sobie nieco ulżyć. Tortura ta jest tem większą, gdy koń wielki ciężar ma ciągnąć. Gdyby zrobiono podobny przyrząd dla człowieka i kazano mu z podniesioną i w tył wykręconą głową pracować — uczułby tę niedogodność i odtąd koniom nigdy tortur nie wyrządzał. Wielką niedogodnością u koni pociągowych, wiozących ciężkie powozy lub inne ciężary, jest naszyjnik, służący do tego, aby koń cofany lejcami ciągnął piersiami i karkiem w tył ciężkie powozy i wozy. Natęża to konia niesłychanie, gdyż lejce woźnicy skręcają mu łeb na bok, a on w piersiach nie ma tej siły na cofanie wozu. Przy dobrze obmyślanym zaprzęgu powinien być pasek lub łańcuszek przypięty do pasa piersiowego i do dyszla, by ten chodził we wskazanym kierunku — ale zato u każdych szorów lub półszorków winien być zamieszczony szeroki pas z tyłu na udach konia, aby gdy przyjdzie pchać ciężar w tył, zapierał się nie karkiem, tylko całą postawą, wtedy zdolnym jest wytworzyć w sobie siłę bez zbyt wielkiego natężenia. Wszystkie zaprzęgi furmańskie w mieście do przewożenia towarów w ten sposób są urządzone. W dalszym ciągu przykrość koniom sprawiają kandary z łańcuszkami pod dolną szczęką. Dozwolone tylko być mogą, gdy się ma konie dzikie i narowne w zaprzęgu, lub też gdy koń wierzchowy często unosi i nie da się powstrzymać. Innym łagodnym koniom tej tortury możnaby oszczędzić. Gdy się ma tylne pasy do pchania ciężaru w tył, to rzemienie na krzyżu od poduszki się zaczynające, a podogonicami się kończące, są zupełnie nie potrzebne. Do lekkich zaprzęgów dobre są półszorki, ale jeśli koń ma stale ciągnąć wielkie ciężary, to koniecznemi są chomąta, jak u zaprzęgów krakowskich. Poduszki na grzbiecie winny mieć miękkie, pilśniowe podkładki, a pasy brzuch pod niemi okalające, szerokie i konia nie trące. Tylko w takich dobrze pod każdym względem obmyślanych zaprzęgach koń pracuje wygodnie i nie marnuje się tak szybko, jak w dotychczas używanych a wadliwych. —

Jak dawniej ludzie mieszkali?

Ludzie pierwotni, dla zabezpieczenia się od zwierząt drapieżnych i słoty, poszukiwali dla siebie schronienia w jaskiniach i pieczarach. Dla zabezpieczenia ścian od obsypywania się, wykładano je gałęziami, co było, jak na owe czasy, dosyć trudne. W chatach takich można było rozłożyć ognisko, a dym wychodził przez otwór, pozostawiony u góry. Największą niedogodnością jednak była tu wilgoć i ciemność.

Znacznym też postępem było już budowanie szałasów z gałęzi drzewnych; były jednak tak lekkie i przewiewne, iż podczas surowej pory roku nie dostarczały żądanego ciepła.

Trwalsze od szałasów były namioty, pokryte skórami zwierzęcemi. Były one kształtu rozmaitego: okrągłe lub w postaci dachu. Do budowy podobnych szałasów najbardziej nadawały się skóry zwierzęce, któremi okładano kilka lub kilkanaście drągów, połączonych ze sobą u góry. Istnieją one dotąd w Turkestanie, w Azyi i na stepach mongolskich, W środku namiotu leży ognisko, z którego dym wychodzi przez otwór w górze umieszczony.

Wygodniejsze od wymienionych schronień były lepianki. Lepianka składała się z kilkudziesięciu palików, wbitych w ziemię wyplatanych wiciną, którą pokrywano z wewnątrz i z zewnątrz grubą warstwą gliny. Glina wysychając, twardniała i tworzyła trwałą lepiankę.

Później, gdy ludy poczęły zajmować się rolnictwem, zaczęły stawiać dogodniejsze budowle z drzewa. Całą budowlę przykrywano strzechą słomianą.

Drewniana chata składała się z jednej tylko izby, w której, w porze zimowej mieszkali zarówno ludzie, jak i bydło domowe. Nie miały jednak takie chaty podłogi i okien, zawsze w nich było mroczno, a jeśli znajdowały się w nich otwory, to wiatr dął przez nie, deszcz i śnieg wpadał, kiedy chciał. Polepszyło się to nieco, gdy otwory na okna zaczęto zalepiać napół przezroczystym pęcherzem; zabezpieczało to ludzi od deszczu i śniegu i więcej światła puszczało do środka. Podłogę stanowiła tu ubita glina. Ognisko tu leżało w środku chaty, dym wychodził otworem w górze.

Kościoły, w czasach najdawniejszych budowano także z drzewa, a otwory na okna wypełniano napół przezroczystą naoliwioną tkaniną, z piękną malaturą, przedstawiającą zdarzenia z historyi świętej.

Piękniejsze powstały kościoły, gdy zaczęto je budować z kamieni i cegły; z początku jednak murowano je tylko do połowy, resztę stawiano z drzewa. Powstają też zameczki murowane, a za przykładem możnych panów, bogaci kupcy stawiają pałace. W wieku piętnastym zdarzają się już w niektórych krajach budowle murowane.

W wieku 16-ym upowszechnienie się szkła przyczyniło się olbrzymio do uprzyjemnienia mieszkania człowieka. Nie przesiady-

wano już w półmroku, gdyż przez szkła wpadało światło do pokojów. Pomimo tego szkło w tym czasie było tak kosztowne, że podczas nieobecności właściciela wyjmowano okna, ażeby nie uległy uszkodzeniu i składano je w oddzielnej komorze. Takie były mieszkania ludzkie do wieku 16-go.

Tanie mięso.

Podrożenie wołowiny, cielęciny i wieprzowiny we wszystkich miastach wywołało konieczność częściowego przynajmniej zastąpienia, zwłaszcza wołowiny, jakiemś innem mięsem. W sprawie tej zabrał głos Alfred Russo, przewodniczący sekcyi dla chowu królików, istniejącej przy Towarzystwie rolniczem w Wiedniu.

Alfred Russo stwierdza, że dotychczasowe pomysły zastąpienia wołowiny rybami rzecznemi czy morskiemi, końskiem mięsem, nie okazały się praktycznemi. Ryby są stosunkowo za drogie i nie dają tych części pożywnych, co mięso. Popyt za koniną wzrasta wprawdzie w Wiedniu, ale mięso to nie może skutecznie konkurować z wołowiną, a na prowincyi pogardziłby niem nawet żebrak. Pozostaje mięso, o którem najmniej się mówi, **mięso królicze.**

Podobnie jak u nas w Galicyi, tak i w innych prowincyach austryackich chów królików prawie nie istnieje. Alfred Russo twierdzi, że mięso królicze mogłyby spożywać nietylko ubogie, ale i zamożniejsze warstwy ludności.

We Francyi, Anglii, tudzież Belgii chów królików istnieje już od dziesiątków lat, a wartość mięsa króliczego, spożywanego w tych krajach, obliczają na 300 miljonów koron. Powstał tam osobny przemysł wyprawiania skórek króliczych i wykazuje 50 miljonów koron rocznego dochodu. Niemcy, Włochy, Holandya i Szwajcarya zaczynają także hodować króliki, w krajach jednakże austryackich, nawet w rolniczej Galicyi, hodowla tego zwierzęcia jest zupełnie zaniedbaną.

Królik należy do zwierząt bardzo czystych, a pewne przesądy, zwrócone przeciwko mięsu króliczemu, nie mają żadnej podstawy. Królik wymaga czystego pożywienia, gdy kury, gęsi, a zwłaszcza kaczki i nierogacizna nie przebierają wcale w tem, co spożywają. We Francyi, Anglii, Belgii, gdzie jest doborowa wołowina, wieprzowina, cielęcina i baranina, mięso królicze zjawia się równie dobrze w misce ubogiego wyrobnika, jak i na półmisku bogacza. Potrawkę króliczą »na brunatno« uważają Francuzi za bardzo smaczny kąsek a w Anglii przy śniadaniach podają pasztet z mięsa króliczego. Robotnik równie angielski, jak francuski, jada chętnie w niedzielę pieczeń króliczą. Dobre mięso królicze podobne jest w smaku do cielęcego, a pod względem pożywności nie ustępuje wcale wołowemu.

Ażeby i u nas zaprowadzić hodowlę królików, trzeba zainteresować dla niej gospodarzy wiejskich, nauczycieli, ogrodników,

wyrobników rolnych, duchowieństwo i większych właścicieli ziemi. Niektórzy budnicy kolejowi przy małej pomocy z kasy zarządów kolejowych zaczęli już hodować króliki. Na Węgrzech koleje państwowe zakupiły dla budników pewną liczbę rozpłodowych królików.

KRZYŻACKA MAĆ.

(Według powieści Sienkiewicza p. t. „KRZYŻACY".)

(Ciąg dalszy.)

Zdrożeni bracia zakonni poprzysuwali się po uczcie do olbrzymich kominów, na których płonęły całe pnie sosnowe, i postanowili jechać dopiero nazajutrz, po wypoczynku. Lecz de Lorche, wypytawszy się, o co chodzi, oznajmił chęć jechania ze Zbyszkiem, mówiąc, że inaczej mógłby się spóźnić na łowy, które chciał widzieć koniecznie.

Poczem zbliżywszy się do Zbyszka i wyciągnąwszy doń rękę, trzykrotnie ścisnął jego palce.

Mikołaj z Długolasu dał im za przewodnika Maćka z Turobojów, który znał drogę i mówił po niemiecku, mógł więc pośredniczyć w rozmowie dwóch młodych rycerzy.

De Lorche zaczął ciekawie wypytywać o kraj, o obyczaje i na pięknej jego twarzy odbijało się co chwila zdziwienie, a smutne jego oczy zachodziły cieniem zadumy. Przybył on przecie w te strony na wyprawę krzyżową, pragnąc uzyskać sławę i zbawienie duszy, a jadąc mniemał, że wojna nawet i z Mazurami, jako z pogańskim przez pół narodem, także zupełny odpust zapewnia. Oczom też prawie nie wierzył, gdy wjechawszy w Mazowsze, ujrzał kościoły po miastach, krzyże na wieżach, duchownych, i rycerzy ze świętemi znamionami na zbrojach, i naród bujny wprawdzie, zapalczywy do zwady i bitki pochopny, ale chrześcijański i wcale od Niemców, wśród których młody rycerz przejeżdżał, nie drapieżniejszy. Więc gdy mu prawiono, że od wieków ten naród Chrystusa wyznaje, sam nie wiedział, co o Krzyżakach myśleć, a gdy się dowiedział że i Litwę już nieboszczka królowa krakowska ochrzciła, zdumienie jego, a zarazem troska nie miały granic. Więc począł rozpytywać Maćka z Tuborojów, czy w owych lasach, ku którym jadą, niema przynajmniej smoków, którym ludzie muszą ofiarowywać dziewice, i z którymi możnaby walczyć. Lecz odpowiedź Maćka pod tym względem sprawiła mu zawód zupełny:

— W borach jest rozmaity godny zwierz, jako wilcy, tury, żubry i niedźwiedzie, z którymi dość jest roboty — odrzekł mazur. — Może też po bagnach są i duchy nieczyste, ale o smokach nie słyszałem, a choćby i były, pewniebyśmy im dziewek nie dawali, ale kupąbyśmy na nie poszli. Ba, gdyby były, jużby dawno Kurpie pasy z ich skóry nosili!

— Co to za naród i czyby nie można z nim walczyć? — spytał de Lorche.

— Walczyć z nim można, ale nie zdrowo — odrzekł Maćko — a wreszcie rycerzowi nie przystoi, gdyż to jest naród chłopski.

De Lorche jechał czas jakiś zamyślony i milczący, aż wreszcie Zbyszko zapytał go, co znaczy, że szyja jego kilkakrotnie przewiązana jest włosianym powrozem?

Na pytanie to, młody de Lorche podniósł oczy w górę i zaczął wzdychać głęboko, poczem odpowiedział, że powroza tego nie zdejmie, póki nie dokona jakiej znacznej rycerskiej przewagi, bo tak przyrzekł swojej pani Ulryce de Elner, która jest najpiękniejszą i najcnotliwszą kobietą na świecie.

Na co Zbyszko zakrzyknął:

— A! nieprawda! Najpiękniejsza i najcnotliwsza dziewka na świecie jest panna Danuta Jurandówna!

I rzucił rękawicę przed młodego rycerza, na znak, że się chce bić zaraz z nim o to.

De Lorche podniósł końcem miecza rękawicę i skłonił się przed Zbyszkiem, co znaczyło przyjęcie wyzwania.

Lecz Maćko z Tuborojów powiedział im, że muszą najpierw od księcia otrzymać pozwolenie na bitkę, bo tu już blizko dwór, a niema takiego zwyczaju, aby się rycerze bili o gładkość dziewki, ale jak książę zezwoli, to mogą się z sobą potykać.

Jechali więc dalej w pozornej zgodzie, świadcząc sobie na postojach i częstując się wzajem winem, którego de Lorche miał znaczne zapasy w wozach. Lecz gdy z rozmowy z nim, a Maćkiem z Tuborojów, okazało się, że Ulryka de Elner naprawdę nie jest panną, ale czterdziestoletnią zamężną niewiastą, mającą sześcioro dzieci, wzburzyła się tembardziej duma w Zbyszku, że ów dziwny cudzoziemiec śmie »babę« nietylko z Danuśką porównywać, ale i pierwszeństwa dla niej wymagać. Pomyślał jednakowoż, że to może być człowiek niespełna zmysłów i myśl ta powstrzymała w nim wybuch gniewu.

— Czy nie myślicie — rzekł do Maćka — że zły duch mu rozum pomieszał? Może też siedzi mu dyabeł w głowie, jako czerw w orzechu, i gotów po nocy na którego z nas przeskoczyć. Trzeba się z nim mieć na baczności...

Usłyszawszy to Maćko z Tuborojów, zaprzeczył wprawdzie, ale począł jednak spoglądać z pewnem niepokojem na Lotaryńczyka, a w końcu rzekł:

— Czasem bywa, że ich w opętanym siedzi i sto, i więcej, a ciasnoli im, to radzi pomieszkania w innych ludziach szukają. Najgorszy też taki dyabeł, którego baba naśle.

Poczem zwrócił się do rycerza:

— Pochwalony Jezus Chrystus!

— I ja Go chwalę — odpowiedział z pewnym zdziwieniem de Lorche.

Maćko uspokoił się zupełnie.

— No, widzicie — rzekł — żeby w nim złe siedziało, zarazby się zapienił, alboby go o ziem rzuciło, bom go nagle zagadnął. Możem jechać.

Jakoż ruszyli dalej spokojnie. Z Ciechanowa do Prasnysza

było niedaleko, ale oni jechali powoli, z powodu nocy, postojów i zasp śnieżnych, więc do myśliwskiego dworu książęcego, który leżał za Prasnyszem na brzegu borów, przybyli dopiero o brzasku.

Dwór tam stał prawie oparty o puszczę, duży, niski, drewniany, mający jednakże szyby w oknach ze szklanych gomółek. Przed dworem widać było żórawie studzienne i dwie szopy dla koni, naokół zaś dworu roiło się od szałasów skleconych na prędce z sosnowych gałęzi, i od namiotów ze skór. Przy szarzejącym dopiero dniu błyszczały jasno przed namiotami ogniska, a w około nich stali osacznicy, w kożuchach wełną do góry, w tołubach lisich, wilczych i niedźwiedzich. Niektórzy stali wsparci na oszczepach, inni na kuszach, niektórzy zajęci byli zwijaniem ogromnych sieci z powrozów, inni obracali nad węglami potężne ćwierci żubrze i łosie, przeznaczone na ranny posiłek. Blask płomienia padał na śnieg, oświecając zarazem te dzikie postacie, poprzysłaniane nieco dymem ognisk, mgłą oddechów i parą podnoszącą się z pieczonych mięsiw. Za nimi widać było zaróżowione pnie olbrzymich sosen i nowe gromady ludzi, których mnogość dziwiła Lotaryńczyka:

— Wasi książęta — rzekł — na łowy jakoby na wyprawy wojenne chodzą.

— Jakobyście wiedzieli — odrzekł Maćko z Tuborojów — że nie brak ni sprzętu, ni ludzi. To są osacznicy książęcy, ale są też i inni, którzy dla targu z puszczańskich komyszy tu przychodzą.

— Co będziemy czynili? — przerwał Zbyszko — we dworze śpią jeszcze.

— A no zaczekamy, aż się pobudzą — odparł Maćko. — Przecie nie będziem do drzwi kołatać i księcia pana naszego budzić.

De Lorche przypatrywał się z zajęciem postaciom osaczników, którzy żyjąc w zdrowem żywicznem powietrzu i karmiąc się, jak zresztą większość chłopów ówczesnych, przeważnie mięsem — zdumiewali nieraz zagranicznych wędrowców wzrostem i siłą. Zbyszko zaś siedząc przy ogniu, spoglądał ustawicznie na drzwi i okna dworca, zaledwie mogąc wytrwać na miejscu. Świeciło się tylko jedno okno, widocznie od kuchni, gdyż dym wychodził przez szpary, między szybami. Inne były ciemne, połyskujące tylko od blasków dnia, który bielał z każdą chwilą i posrebrzał coraz mocniej ośnieżoną puszczę za dworem. W małych drzwiach wybitych w bocznej ścianie domostwa, ukazywała się czasem służba w barwie książęcej. Ludzie ci zapytywani, czy wszyscy śpią jeszcze, odpowiadali, że dwór strudzon wczorajszemi łowami spoczywa dotąd, ale że już warzy się strawę na ranny posiłek przed wyruszeniem.

Jakoż przez okno kuchenne począł wydobywać się zapach tłuszczu i szafranu, który rozszedł się daleko między ogniskami. Skrzypnęły wreszcie i otwarły się drzwi główne, odkrywając wnętrze suto oświeconej sieni — i na ganek wyszedł człowiek, w którym Zbyszko poznał jednego z rybałtów, których widział między służbą księżny w Krakowie. Na ów widok, nie czekając na Mać-

ka z Tuborojów, ni na de Lorcha, skoczył Zbyszko z takim pędem ku dworowi, że aż zdziwiony Lotaryńczyk zapytał:

— Co się stało temu młodemu rycerzowi?

— Nic się nie stało — odrzekł Maćko — jeno miłuje jedną dworkę księżny i radby ją jako najprędzej uwidzieć.

— Ach! — odpowiedział de Lorche, przykładając obie dłonie do serca.

I podniósłszy oczy w górę, począł wzdychać raz po razu tak żałośnie, że aż Maćko wzruszył ramionami i w duchu rzekł:

— Zaliby do swojej starki tak wzdychał? Nużby szczerze był nie spełna rozumu?

Ale tymczasem wprowadził go do dworca i obaj znaleźli się w obszernej sieni, przybranej rogami turów, żubrów, łosi, jeleni i oświeconej przez płonące na potężnym kominie suche kłody. W środku stał nakryty kilimkiem stół z przygotowanemi misami do jadła, w sieni było zaledwie kilku dworzan, z którymi rozmawiał Zbyszko. Maćko z Tuborojów zapoznał ich z panem de Lorche, ale że nie umieli po niemiecku, musiał sam dalej dotrzymywać mu towarzystwa. Jednakże dworzan przybywało co chwila, chłopów po większej części na schwał, surowych ale rosłych, pleczystych, płowowłosych, poprzybieranych jak do puszczy.

Ci, którzy znali Zbyszka i wiedzieli o jego przygodach krakowskich, witali się z nim, jak ze starym przyjacielem — i znać było, że ma mir między nimi. Inni patrzyli na niego z takim podziwem, z jakim zwykle patrzy się na człowieka, nad którego karkiem wisiał topór katowski. Na okół słychać było głosy: »Juści! jest księżna, jest Jurandówna, zaraz ją tu ujrzysz nieboże i na łowy z nami pojedziesz«. A wtem weszli dwaj goście krzyżaccy, brat Hugo de Danveld, starosta z Ortelsburga, czyli Szczytna, którego krewny był w swoim czasie marszałkiem, i Zygfryd de Löwe, także z zasłużonej w zakonie rodziny — wójt z Jansborka. Pierwszy dość młody jeszcze, ale otyły, z twarzą chytrego piwożłopa i grubemi wilgotnemi wargami, drugi wysoki, o rysach surowych, ale szlachetnych. Zbyszkowi wydawało się, że Danvelda widział niegdyś przy księciu Witoldzie i że go Henryk książę Płocki zwalił w gonitwach z konia, lecz wspomnienie owo pomieszało mu wejście księcia Janusza, ku któremu zwrócili się z pokłonami i Krzyżacy i dworzanie. Zbliżył się ku niemu de Lorche i komturowie, i Zbyszko, on zaś witał uprzejmie, ale z powagą na swej bezwąsej, wieśniaczej twarzy, okolonej włosami, obciętymi równo nad czołem, a spadającymi aż na ramiona po obu bokach.

Wnet zagrzmiały za oknami trąby, na znak, że książe zasiada do stołu: zagrzmiały raz, drugi, trzeci, aż za trzecim razem otworzyły się duże drzwi po prawej stronie izby i ukazała się w nich księżna Anna, mając przy sobie cudną złotowłosą dzieweczkę z lutnią zawieszoną na ramieniu. (C. d. n.)

Krzywdy i nadużycia.

Chłop płaci i pracuje, a żyd pieniądze bierze. Kiedy Rada państwa uchwaliła budowę kanałów, która się rozpocznie z wiosną 1904 r., lud przyjął wiadomość o tej budowie z pewnem zadowoleniem, w nadziei utrzymania dobrego i dostatecznego zarobku. Posłowie do Parlamentu przedstawiali budowę kanałów jako niesłychaną zdobycz i jako nadzwyczaj korzystną rzecz dla ludu, twierdząc, iż przez 20 lat lud galicyjski nie będzie potrzebował tułać się po obczyźnie i zagranicą dla szukania sobie pracy, bo ją znajdzie i będzie ją miał u siebie przy budowaniu kanałów. Pisma ludowe i wszystkie inne dzienniki przedstawiały również budowę kanałów jako źródło obfitych zarobków dla roboczej ludności w Galicyi. Cieszono się nadzieją i wmawiano w lud, że te miliony, jakie kraj i państwo wyda na kanały w Galicyi, pozostaną pomiędzy naszą ludnością, przez co nędza się zmniejszy, a może nawet skutkiem ciągłych a dobrych zarobków średni dobrobyt zakwitnie wśród tysięcznych rzesz, dzisiaj z głodu przymierających a nierzadko i bez własnego dachu nad głową. I takby wistocie być powinno, bo jeśli kanały przyjdą do skutku, to tylko ciężką pracą ludu, i niejedno życie zgaśnie przedwcześnie pod brzemieniem wytężającej pracy, nie jedna, ale setki ofiar z kilofem czy z łopatą w ręce padnie na tem pobojowisku pracy. Niejeden młodzian dla pomnożenia zarobku starga swe siły i legnie w zimnej mogile, nie doczekawszy się owocu swej potem zlanej pracy, niejeden ojciec dla zapewnienia przyszłości swej rodzinie, wyczerpany z sił, runie, jak dąb podcięty, na łoże boleści, by więcej się nie dźwignąć, a rodzinie zamiast spodziewanego dobrobytu, pozostawia nieszczęsną dolę i łzy sieroce. Lecz trudno, gdzie drzewo się rąbie, tam trzaski lecieć muszą, ale gdyby przynajmniej przy tem rąbaniu, przy tem kopaniu kanałów był zarobek odpowiedni tej ciężkiej pracy. Niestety, tak nie będzie, co wnioskować a nawet i twierdzić można już z dzisiaj dokonywanych przekopów dla sprostowania biegu Wisły. Na przestrzeni od Krakowa do Oświęcima będą zrobione trzy takie przekopy, a mianowicie: pod Kopanką, pod Łęczanami i pod Grutową. Nad jednym z tych przekopów koło Kopanki pracują już od 4. września b. r. i w jaki miesiąc będzie już gotowy. Zatrudnionych jest dziennie przeciętnie 100 robotników. Przypatrzmy się pracy tych ludzi, i jaką też płacę pobierają. Otóż od wybranej ziemi w pierwszej warstwie pobierają po 10, 11, 12, 13, 14 ct. od kubika, w drugiej i trzeciej warstwie biorą po 14, 16 18 i najwięcej 20 ct. Jeżeli robotnik weźmie się do pracy o godzinie **4-tej lub 5-tej** z rana, z wytchnięciem tylko na posiłek, a pracuje do późnego wieczora i jeszcze **przy księżycu w nocy,** może zarobić wiecie ile? **aż 1 złr.**!!! Gdyby jednak robił od **6-tej** rano do 6-tej wieczór, zarobi tylko **1 kor.** czyli **50 ct.**!!! I czyż to nie wyzysk straszny tej nieszczęśliwej ludności, która mimo tak marnego zarobku za tak ciężką pracę garnie się do niej, byle się ratować przed głodową śmiercią! Gdzież władza, która na ten haniebny wyzysk zgłodnia-

łych mas pozwala! Czyż na to kraj i rząd rzuca miliony na publiczne roboty, aby z nich lwią część zabierały trutnie i pasożyty w postaci niesumiennych i niemiłosiernych przedsiębiorców? Wszak na te miliony składać musi lud swój krwawy grosz, i czyż je mają pochłaniać chciwe hieny, jakiemi są trutnie przedsiębiorcy, a lud za łożoną pracę od najwcześniejszego ranka do późnej nocy ma dostać zaledwie jakieś ochłapy! **Toć to krzywda o pomstę do Boga wołająca!** — A wiecie bracia włościanie, komu oddano w przedsiębiorstwo te trzy przekopy do Wisły? **Żydom**, Grünwaldowi z Krakowa i Tellerowi z Podgórza!!! Otóż to taka naszych władz gospodarka! Ty chłopie płać, ty chłopie pracuj i giń z pracy, a żyd niech się panoszy! Czyśmy już tak nizko zeszli, że z pośród chrześcian nikt nie potrafi robót prowadzić, tylko żyd! Panowie sterujący nawą krajową, gdzie wasze sumienie, że z taką lekkomyślnością możecie oddawać lud w ręce wyzyskiwaczy żydowskich! A jeśli kiedy, to dzisiaj te pijawki pejsate, ci wyzyskiwacze popuszczą cugle swej chciwości, korzystając z nędzy powodzią zrujnowanego ludu! Jeżeli lud miał mieć takie zarobki przy budowie kanałów, a na co się zanosi, to niech ten lud raczej idzie za góry za lasy, boby u siebie przy takim wyzysku zmarnieć musiał. O tej sprawie jeszcze napiszemy.

Jak grasują egzekutorzy podatkowi. Z Żywca piszą nam: Jak popierają przemysł krajowy władze skarbowe i polityczne, dowodzi tego następujący wypadek: Józef Sanetra, prowadzi od dziesięciu już lat warsztat stolarski w Zabłociu, płacąc zawsze jak najregularniej podatki, na co ma wszystkie pokwitowania starannie zebrane. Nagle, dnia 2 b. m. wpada do pomieszkania Sanetry, bez poprzedniego uwiadomienia, egzekutor podatkowy, żądając zapłacenia rzekomej zaległości 10 K. Sanetra oddał egzekutorowi całą gotówkę, jaką miał, około 7 K. zapewniając, że resztę odniesie za kilka dni. Egzekutor pieniądze wziął i poszedł. Zaledwie jednak drzwi się za nim zamknęły, zjawił się sekretarz gminy z Zabłocia, p. Rusek, w towarzystwie żandarma. Nie bacząc na prośby biedaka, zagrabili oni Sanetrze warsztat i całe urządzenie pracowni, pozbawiając go tym sposobem narzędzi do pracy, za pomocą których zarabiał na podatki dla państwa i na chleb dla siebie, dla żony i dla czworga dzieci! Wypadek ten jest tembardziej oburzający, że żona Sanetry w chwili, kiedy żandarm z Ruskiem grabili jego majątek, wiła się w boleściach porodowych. Ani jęki biednej kobiety, ani płacz głodnych dzieci, ani prośby obywatela, który posiwiał już i zgarbił się pracując ciężko na podatki dla państwa, nie pomogły. Za 3 korony zabrano mu cały majątek, pozbawiono ostatniej nadziei ratunku! Czyż wobec takiego postępowania władz rządowych może być mowa nie już o podniesieniu przemysłu krajowego, lecz bodaj o zachowaniu tych resztek, jakie się jeszcze ostały? Przykład Sanetry, oto jaskrawa ilustracya stosunków galicyjskich.

SPRAWY LUDOWE.

DO WSCHODNIEJ GALICYI!

II. Przy końcu czternastego wieku po przyłączeniu do Polski ziem ruskich, i w wieku piętnastym po zjednoczeniu Litwy z Polską, i w czasach późniejszych, gdy ta Polska za czasów królów z domu Jagiellonów stanęła na najwyższym szczycie swej potęgi i gdy naród polski rozszerzał swoje dziedzictwa, poczęło niedostawać ziemi i tak szlachta uposażona przez królów za zasługi wojenne krajów wschodnich przed Tatarami, Turkami i innymi nieprzyjaciółmi zewnętrznymi, poczęła przesiedlać się na nowe dziedziny na Ukrainie i Rusi, to za jej przykładem szedł i lud polski. Gdy potem przez rozbiory krainy te podpadły pod obce rządy, stosunek ten niewielkim uległ zmianom i te dwory pańskie i te osady włościańskie utrzymały się w znacznej części po nasze czasy. Przynajmniej miasta nasze w Galicyi wschodniej (dawnej Rusi czerwonej) utrzymały po dziś dzień charakter polski, a mamy też tam wielu polskich wieśniaków, których Rusini nazywają Mazurami. Gdziekolwiek tam tych naszych Mazurów większa ilość się znajdzie, stają świątynie polskie, szkółki, kółka rolnicze i t. d. Nie jest to tak źle, jakby się niejednemu wydawało, owszem lepiej, jak w samym rdzeniu Polski, więcej tam włościanie mają ziemi, jest im przestroniej i weselej, bo kupią się więcej ze sobą i więcej się czują Polakami. Jeżelibyśmy chcieli porównać ich z rodakami w Ameryce osiadłymi, to o ileż położenie ich jest lepsze od tamtych, co żyją nie wśród swych braci, ale wśród obcoplemieńców różnych od nich wiarą i narodowością. Tam we wschodnich częściach kraju dostatek ziemi urodzajnej i niebo i natura, taż co w Polsce. A cóż cenniejszego dla nas nad tą ziemię, która nas żywi, a której tam jest tyle, że sama niejako się prosi, aby ją zaludniać. Dziś nastały czasy, w których z powodu lepszych środków komunikacyjnych łatwo przenieść się choćby w najdalsze strony świata; ztąd też ruch emigracyjny wzmaga się z dniem każdym. Dawniej prawie każdy siedział na miejscu i nie wyjrzał po za najbliższą wieś lub miasto, dziś takich coraz to mniej, i jeżeli się znajdują, to świat może ich słusznie uważać za zacofanych. Po co gnieść się na jednem miejscu i biedę cierpieć, kiedy świat otwarty; trzeba szukać dróg, za pomocą których możnaby los swój poprawić. Na co szukać dalekich krajów zamorskich, kiedy tu w kraju przy budzącym się dzisiaj do życia przemyśle można wyżyć dostatnio. Tylko śmiało i naprzód. Tym, którzy chcą byt poprawić, niech ruszają na Wschód. Tam znajdzie każdy ziemię dobrą i tanią. Redakcya nasza w zakupnie tejże chętnie będzie mu pośredniczyć i poda miejscowość, gdzie i po jakiej cenie może ją pod dogodnymi warunkami nabyć.

WIADOMOŚCI ZE ŚWIATA.

Nowe armaty. »Fremdenblat« donosi, że lufy u nowych armat będą sporządzone z kutego bronzu (Schmiedebronze). Całe zapotrzebowanie wynosić będzie 3000 armat. Czas ich zaprowadzenia obliczony jest na 3—4 lat. Wyjąwszy lufy, wszystkie części dział wykonane będą w fabrykach prywatnych. Żądanie kredytu odnosić się będzie także do wyżej wymienionego czasu i na pierwszy rok wyniesie 38 milionów koron.

Wiedeń. Parlament zebrał się we wtorek d. 17. b. m. po dłuższej przerwie na obrady. Pierwsze posiedzenie odbyło się dosyć spokojnie, jednak obstrukcya wisi w powietrzu i kto wie, czy na najbliższem posiedzeniu, które się odbędzie w piątek d. 20. b. m., nie wybuchnie gwałtownie. Czesi i Niemcy nagromadzili całe stosy nagłych wniosków.

Wiedeń. Na stacyi Steinhaus na Semeringu zderzyły się w nocy cztery wozy towarowe z pociągiem towarowym. Kilka wagonów uszkodzonych, jeden konduktor zabity, pięciu lekko rannych.

Berlin. O prawdopodobnym wyjeździe cesarza Wilhelma II. na południe obiegają najrozmaitsze wieści. Z jednej strony donoszą, że jacht cesarski »Hohenzollern« przygotowują już do dłuższej podróży po morzu Śródziemnem. »Taegl. Rundschau« natomiast dowiaduje się, że cesarz uda się na czas dłuższy do Tyrolu nad jezioro Garda i że w przejeździe stamtąd odwiedzi w Monachium księcia regienta bawarskiego Luitpolda.

Sofia. W niedzielę zostało otwarte sobranie mową tronową. — Mowa wspomina, że w lecie b. r. rząd musiał poczynić nadzwyczajne wydatki na cele armii, aby mogła bronić całości i niezawisłości ojczyzny. Rząd wszelkimi siłami się stara utrzymać dobre stosunki z wielkim swoim oswobodzicielem, z Rosyą oraz z innemi wielkiemi państwami, w szczególności z państwami sąsiedniemi.

Kronika i rozmaitości.

Bezpłatnej porady prawnej udziela nasza Redakcya stale we wtorki od godz. 11. do 1. i w niedziele od godz. 10. do 12. Na odpowiedzi listowne dołączać należy znaczki pocztowe.

Parcelacya. W związku z artykułem pod tytułem. „Do wschodniej Galicyi“, oznajmiamy wszystkim mającym chęć nabywać grunta tanio bez długu i z ulgami w spłatach ceny kupna, czy to w Galicyi wschodniej, czy zachodniej, aby zaraz zgłaszali się do naszej Redakcyi po informacye. Bliższe wiadomości podawać będziemy w gazetce.

Jak żydzi postępują ze służącemi katolickiemi. U żyda Reisnera w Krakowie służyła katoliczka, Marya Mazurowna, a że pracowała jak to mówią „za dwóch“, a jadła tylko „za jednego“ i sprawowała się wzorowo, przeto też pan Reisner był bardzo z niej zadowolony. Lecz Mazurowna wskutek ciężkiej pracy zachorowała i musiała państwu Reisnerom podziękować za służbę. Reisnerowie

nie chcieli jej uwolnić i posłuchajmy, jakich podłych, żydowskich sposobów użyli celem jej zatrzymania. Najpierw wzbraniali się wypłacić jej zasługi w sumie 48 koron, a gdy dziewczyna przy pomocy policyi postawiła na swojem, zaskarżyli ją do prokuratoryi. że im pokradła najrozmaitsze rzeczy. Najniewinniejsza w świecie, chora dziewczyna, musiała wędrować do aresztu śledczego, między grono prawdziwych złodziejek, a potem przed sąd, który dopiero po przeprowadzeniu rozprawy i po wykryciu, jakiej niecnej intrygi użyli żydzi, aby pracowitą i wierną sługę zmusić do dalszej służby, oskarżoną od wszelkiej odpowiedzialności uwolnił.

Taka jest wdzięczność żydów i takie ich podziękowanie, złożone katoliczce za wierność!

Macierz Polska. W nowem wydaniu (dwudziesty tysiąc) wyszła czarodziejska opowieść Władysława Bełzy p. t. Dobry syn. Janek ów, więziony przez czarownicę. skazany prawie na śmierć przez rycerza Wolfa, wabiony przez króla karłów zagrożony przez dwunastu zbójców, a zawsze ocalony cudownie, przybrał się teraz w nową szatę. Tę opowieść ozdobił dziesięcioma prześlicznemi rycinami malarz Stanisław Dębicki. Z niebywałem zajęciem a z niezrównaną naiwnością oddawał najbardziej na wyobraźnię działające momenty (prawdziwem n. p. arcydziełem, jest ucieczka na kocie) drzeworyty zaś wykonał znany już we Lwowie uzdolniony ksylograf K. Łaba Zabłocki. Dobry syn zdolen jest dostarczyć chciwej wrażeń duszy dziecięcej pokarmu obfitego, a zdrowego. Cena dziełka 40 halerzy.

Ziemia dla prosiąt. Prosięta zimowe bardzo często marnieją, co przypisujemy rozmaitym przyczynom, nie pomyślawszy o rzeczy głównej, a mianowicie o tem. że prosięta potrzebują ziemi i podobnych materyi, aby pozostały zdrowemi. Gdy chodzą swobodnie, natenczas zaspokajają łatwo potrzebę rycia, ale jeżeli przez zimę pozostają w zamknięciu przez kilka miesięcy, to trzeba im w kąt chlewa nawieźć taczką ziemi, a spostrzeżemy, że zaraz zabiorą się do rycia.

Odkąd tępią świnie? Dopóki żydzi nie byli weterynarzami, świnie chowały się spokojnie. Ale wiecie dobrze, jaki wstręt czują żydzi do tego rodu i chociaż zje świniny i smakuje mu, to przecież narzeka, że z tego brzuch boli. A więc na pochybel świńskiemu rodowi. zwłaszcza gdy przytem można robić doskonałe interesa. Wszak niejeden z was pojęcia nie ma, jak pp. weterynarze umią sobie radzić, by jakoś żyć na świecie. Cóż to n. p. szkodzi p. weterynarzowi zdać relacyę do c. k. starostwa, że w Krzęcinie chorują świnie. C. k. starostwo wydaje natychmiast polecenie, aby tam p. weterynarz zaraz pojechał i zarządził, co należy, a o to się właśnie rozchodziło. Oprócz pensyjki przybywa dyetka 14 kor. 54 hal. Następnie zabiera świnie niby o zarazę podejrzane, i odwozi je do rzeźni, a gdy po zabiciu tychże okazuje się, że są zdrowe, więc mięso sprzedaje się niby na licytacyi a nie rzadko porozumiawszy się wprzód z nabywcami. Tak n. p. wywiezione świnie z Facimiecha, a zabite w podgórskiej rzeźni, sprzedano po 20 centów kilo, gdy tymczasem kilo wieprzowiny kosztuje co najmniej 54 centów.

Faktem jest, że obecnie gospodarze i kraj tylko szkodę mają z weterynarzy. W istocie dziwić się trzeba, za co oni pensye biorą? Gdyż na to, co oni urzędownie robią, zdobyłaby się pierwsza lepsza kobieta na wsi. A już weterynarze żydzi. to istna plaga na nasz kraj, i tę plagę trzeba jeszcze opłacać ciężko zapracowanym groszem! I dokądże to trwać będzie ta bezrozumna gospodarka weterynarzy z taką niepowetowaną szkodą dla włościan. Niechno się c. k. rząd zastanowi, że weterynarze niszczą bezmyślnie chów nierogacizny. niszczą jedyne źródło podatków rządowych w Galicyi.

W powstaniu macedońskiem zasłynęła niezwykłą dzielnością i odwagą kobieta. Zojka Iwanow, która w szeregach powstańców walczy nieustraszenie z Tur-

kami i cieszy się przytem szczególnem szczęściem, gdyż dotąd mimo, że brała udział w 18 bitwach, ani jedna nie drasnęła ją kula. Wśród Turków szerzy się też zabobonny strach, że „niesamowitą“ Zojkę nie ima się kula, uciekają więc na samo jej pojawienie.

Czworonożny amator brylantów. Dzienniki wiedeńskie opisują osobliwy wypadek, jaki się zdarzył w Peszcie. W sklepie jubilerskim braci Zirner zamówił pewien pan parę kolczyków brylantowych. Firma zamówiła w Amsterdamie dwa brylanty wartości 20.000 kor., a gdy je nadesłano, p. Zirner udał się niezwłocznie do warsztatu swego, by je oprawić. Podczas tej roboty odwołano go do sklepu; p. Zirner zamknął warsztat, a gdy po dziesięciu minutach powrócił, brylantów nie było. Wszelkie poszukiwania okazały się daremne. P. Zirner zawiadomił tedy policyę, a przybyły agent śledczy poddał wszystkich pracowników w sklepie ścisłemu badaniu, które wszakże nie przyniosła żadnych rezultatów. Naraz agent spostrzegł małego pieska i ku ogólnemu zdumieniu, spytał, czy zwierzę było w warsztacie podczas nieobecności szefa; otrzymawszy odpowiedź twierdzącą, agent zbadał psa i oświadczył, że zwierzę niewątpliwie połknęło brylanty. Zaniesiono tedy pieska do instytutu weterynaryjnego, tam go zabito, a po rozcięciu zwłok znaleziono nietylko owe dwa brylanty, ale inne drogie kamienie, oraz złote spinki.

Z targów zbożowych. Kraków, d. 10. listop. 1903. Płacono za 100 klgr. netto Pszenica od 18·— do 18·50; — Zyto od 13·80 do 15·—; Jęczmień od 12·— do 12·50; — Owies z opłatą akcyzową od 13·20 do 13·50; — Groch od 18·— do 24·—; Tatarka od 14·— do 15·—; — Proso od 11·50 do 13·—; — Fasola od 20·50 do 26·—; — Jagły od 18·— do 22·—; Siano od 7·20 do 7·60; — Słoma od 4·80 do 5·20; — Koniczyna na paszę od 8·— do 8·40; — Ziemniaki za hektolitr od 3·40 do 4·80; — Jaja za kopę od 3·— do 4·—; — Masło za kilogr. od 2·— do 2·20; Kukurudza za 100 kilogr. od 12·50 do 14·40; Wszystko liczono w koronach.

Za ogłoszenia nie bierze Redakcya żadnej odpowiedzialności.

Wydawcy i właściciele: **Ks. Andrzej Szponder i Dr Michał Danielak.** — Redaktor odpowiedzialny: **Władysław Jaśko.**

Czcionkami Drukarni Literackiej w Krakowie, pod zarządem L. K. Górskiego